NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 7 Marek.**

Rok XVII. Kraków, 26. czerwca 1920. Nr. 26.

Tydzień „Białego Krzyża" w Krakowie



Samochody odznaczone pierwszemi nagrodami podczas corsa kwiatowego w dniu 20 czerwca b. r.

Tydzień „Białego Krzyża" w Krakowie.

Towarzystwo „Białego Krzyża", aczkolwiek nie tak dawno powstałe, ma już przecież za sobą tak obfite wyniki swej działalności, że obowiązkiem świętym naszego społeczeństwa jest jak najgorliwsze popieranie jego celów.

Zadaniem Towarzystwa jest opiekowanie się żołnierzem zdrowym, w przeciwieństwie do Towarzystwa „Czerwonego Krzyża", zajmującego się chorymi i rannymi. Jako takie uznane zostało przez ministra spraw wojskowych i siecią swej organizacyi objęło całą Polskę, która wprawdzie nie szczędzi mu poparcia materyalnego i moralnego, na jakie, zwłaszcza w obecnych stosunkach zasługuje, ale może nie w tej mierze, jak należałoby się spodziewać.



Tydzień „Białego Krzyża" w Krakowie: Aeroplan na ukwieconym samochodzie.

Niestety, u nas tak się już utarło, że ci, którzy powinniby przyjść z materyalną pomocą, ograniczają się na moralnej, część materyalną zostawiając tej reszcie, która musi się liczyć z każdym centem.

Celem zasilenia funduszów Towarzystwa, odbył się w dniach od 13. do 20. czerwca w całej Polsce „tydzień Białego Krzyża". W Krakowie zajął się nim ten sam Komitet, który organizował Gwiazdkę i święcone dla żołnierzy na froncie. Dołożono wszelkich starań, aby program wypadł pod każdym względem jak najwspanialej i trzeba przyznać, pomyślny skutek uwieńczył zabiegi inicyatorów szlachetnego przedsięwzięcia.

Tydzień „Białego Krzyża" rozpoczął się w dniu 13. czerwca publicznymi koncertami muzyk wojskowych i zbiórką. Na dalszy program w dniach następnych złożyły się przedstawienia w krakowskich teatrach świetlnych, które na ten cel ofiarowały dochód, raut z bardzo urozmaiconym programem w salach Kasyna wojskowego, koncert, urządzony siłami kursu operowego M. Kozłowskiej, kabaret zorganizowany przez I. M. C. A. w ujeżdżalni przy ul. Zwierzynieckiej, match footballowy na Błoniach i przedstawienia w krakowskich teatrach.

Zakończeniem „tygodnia" a zarazem najponętniejszym punktem programu było corso kwiatowe samochodów, urządzone w alei Trzeciego Maja na Błoniach w dniu 20. czerwca.

Dla Krakowa była to nowość. Ostatnie corso kwiatowe odbyło się u nas lat temu kilkanaście, z okazyi wyścigów konnych.

Krakowianie, korzystając ze sprzyjającej pogody, wylegli też tłumnie na Błonia, gdzie czekała ich miła niespodzianka. Corso, wbrew przepowiedniom pesymistów, udało się pod każdym względem. Wzięło w nim udział kilkadziesiąt samochodów, między nimi kilkanaście bardzo efektownie przybranych. Śmiało powiedzieć można, że nie powstydziłaby się ich każda ze stolic, mających w urządzaniu podobnych urozmaiceń wprawę, gdyż dla Krakowa była to właściwie nowość, która u nas z czasem z pewnością się spopularyzuje.

Wynik finansowy „tygodnia" był jak się dowiadujemy, bardzo pokaźny, ale jest to wszystko „kroplą w morzu" wobec potrzeb Towarzystwa, nie mogącego przy szczupłych funduszach rozwinąć tak daleko idącej działalności, jaką sobie zakreśliło.

Dla naszych filantropów — a tych podobno u nas nie brak — otwiera się piękne pole popisu.

Nie zapominajmy o tem, że nasz żołnierz walczący tak dzielnie na wschodnim froncie, cierpi na różne braki, których usunięcie leży w naszem ręku!...



Intronizacya króla kurkowego: Nowo obrany król mecenas Dr Kazimierz Ostrowski, w otoczeniu braci strzeleckiej.

Intronizacya króla kurkowego.

Krakowskie Towarzystwo Strzeleckie to instytucya nawskróś mieszczańska, mająca za sobą bardzo chlubną wiekową tradycyę. Z biegiem czasu



Tydzień „Białego Krzyża“ w Krakowie: Samochód propagandy Pożyczki odrodzenia.



Tydzień „Białego Krzyża“ w Krakowie Samochód „Czerw. Krzyża“, biorący udział w corsie kwiatowem.

w miarę, jak stale upadało znaczenie krakowskiego mieszczaństwa, z którem ongi liczył się nawet sam król jegomość — i dawne ruchliwe życie na Strzelnicy zaczęło zamierać, ograniczając się jedynie głównie do uroczystości królewskich, to jest abdykacyi i intronizacyi, obchodzonych dziś z bardzo zredukowanym ceremoniałem.

A wielka to szkoda!... Tego rodzaju zrzeszenie krakowskiego mieszczaństwa mogłoby odegrać wybitną rolę nie tylko w dziejach podwawelskiego grodu, ale i całego kraju. Lwowska „Strzelnica“ bierze daleko żywszy udział w sprawach, obchodzących mieszczaństwo. Doroczne uroczystości królewskie odbyły się w myśl tradycyjnego ceremoniału abdykacyą poprzedniego króla w pierwszą niedzielę po oktawie Bożego Ciała.

W dniu tym były król, dr. Wł. Nieć, podpisał swą abdykacyę. Przy tej sposobności wygłosił mowę w zastępstwie nieobecnego prezesa Towarzystwa dr T. Kwieciński, sekretarz Towarzystwa, wręczając ustępującemu pamiątkowy pierścień.

Od tej chwili rozpoczęło się bezkrólewie, zakończone w następną niedzielę, dnia 20 b. m., obwołaniem nowego króla.

Ostatni szczątek drewnianego kura strącił celnym strzałem adwokat dr K. Ostrowski i jemu też, według regulaminu strzeleckiego przypadła godność króla kurkowego na rok następny. Marszałkami zostali obwołani aptekarz Ed. Schneider i przemysłowiec W. Bieniarz.

Bezpośrednio po objęciu rządów obszedł nowy król przy dźwiękach muzyki i w otoczeniu swego orszaku granice swego królestwa (niestety bardzo dziś „okrojone“...), wieczorem zaś odbyła się w sali Towarzystwa uczta królewska.

Pierwszy toast wzniósł król nowomianowany na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i jej Naczelnika, a zatem Naczelnego Wodza, poczem przemówili: wiceprezes Towarzystwa J. Armółowicz na cześć nowego króla, ustępujący król, dr Nieć, podnosząc męstwo naszej dzielnej armii, jenerał Stiller,



Poświęcenie lokalu krak. oddz. „Rzeczypospolitej“: Grono pracowników i przyjaciół „Rzeczypospolitej“ po akcie poświęcenia lokalu.

były król Biborski i inni. W uczcie królewskiej wzięła udział brać strzelecka i zaproszeni goście, między nimi jako reprezentanci miasta wiceprezydenci Sare i Rolle, z ramienia wojskowości generał Stiller i pułkownik Wiktor.

Znając dotychczasową działalność obywatelską nowego króla, mecenasa Ostrowskiego i jego energię, nie wątpimy, że dołoży wszelkich starań, aby rok jego królowania był zarazem ponownym rokiem powrotu do świetnych tradycyi Towarzystwa, tak chlubnie zapisanego na kartkach dziejów naszego grodu.



Bohaterowie życiowej tragedyi: Dr Jan Przeworski, obrońca oskarżonego Grodzkiego.

Poświęcenie lokalu krak. oddziału „Rzeczypospolitej".

Jako wyraz potrzeby, odczuwanej od dawna w kraju naszym, mamy od dnia 15/ b. m. pismo polskie, codzienne, obejmujące całość ziem polskich.

Przy czynnem współdziałaniu Polonii amerykańskiej i miejscowych kapitałów powstała mianowicie „Rzeczpospolita" — dzisiaj stanowczo największe przedsiębiorstwo wydawnicze w Polsce europejskiej, zorganizowana z iście amerykańskim pośpiechem przez znanego działacza prof. Uniw. Jagiell. Dra Stanisława Strońskiego, kierującego naczelną redakcyą w Warszawie.

Miejscowy oddział „Rzeczypospolitej" w Krakowie mieści się przy ul. Karmelickiej L. 9 i 16.

W skład redakcyi wchodzą znani dziennikarze pp.: Sylweryusz Chmurkowski redaktor naczelny, prof. Fryderyk Dąbrowski kierownik pisma, Dr Emil Folkierski, Józef Hejnar i Stefan Nowiński jako referenci główni.

Administracyę oddziału krakowskiego zorganizował p. Marceli Pierożek przy współudziale licznego grona pracowników.

Uroczystość otwarcia oddziału krakowskiego zgromadziła liczne grono przedstawicieli świata nauki i sztuki.

Po akcie poświęcenia lokalu redakcyi i administracyi przemawiali: Ks. Prałat Masny, prof. Uniw. Ignacy Chrzanowski, prof. Tadeusz Konopczyński i red. Fr. Dąbrowski.

Wydawnictwo od pierwszej chwili stanęło bardzo silnie.



Bohaterowie życiowej tragedyi: Zofia Taszycka, córka zamordowanej E. Sądeckiej, współoskarżona o zbrodnię mord.

Bohaterowie życiowej tragedyi.

Sala sądowa, zwłaszcza zaś sala rozpraw sądu przysięgłych, to dla wielu osobistości coś w rodzaju teatru, gdzie zupełnie zadarmo można doznać nerwowych emocyi. Tragedye i dramaty, jakie się tutaj przesuwają przed okiem i uchem widza i słuchacza, mają dla niego jeszcze i ten urok, że są oparte na rzeczywistości i wzięte wprost z życia.

To też ponura sala sądowa, zwykle pusta i głucha, czasem rozbrzmiewa takim gwarem i zapełnia się takiem audytoryum, iż niejeden człowiek zadaje sobie pytanie: sąd to, czy teatr?

Coś podobnego mieliśmy sposobność zaobserwować w sali krakowskiego Sądu przysięgłych przez szereg dni, począwszy od 17 czerwca. Toczyła się tam rozprawa przeciw Henrykowi Grodzkiemu i Zofii Taszyckiej.

Akt oskarżenia zarzucał Grodzkiemu, że w dniu 13 września 1919 roku dopuścił się skrytobójczego morderstwa na osobie ś. p. Emilii z Teichmannów Sądeckiej, matki Zofii Taszyckiej, która obwinioną była o współudział w tej zbrodni, wprawdzie nieczynny, lecz moralny.

To był punkt ciężkości aktu oskarżenia, zarazem główna atrakcya dla żądnych sensacyi tłumów.

Nie długo przed otwarciem sali rozpraw gromadziło się audytoryum przed budynkiem sądowym, a na ustach wszystkich były dwa nazwiska: Grodzki-Taszycka. Płeć piękna stanowiła większość, starając się zdobyć dla siebie jak najlepsze i najwygodniejsze miejsce, by widzieć, jak wyglądają bohaterowie tej ponurej życiowej tragedyi, by nie uronić ani słowa z ich zeznania.

I wygasły ogniska domowe, najważniejsze i najpilniejsze sprawy zeszły na drugi plan, na pierwszy wysunęła się kwestya, kto zawinił i jaki zapadnie wyrok.

Rozprawie, rozpisanej na dni kilka, przewodniczył radca Trzaskowski, wotowali radcy: Federowicz i Kraus, obwiniał prokurator Brzostyński. Trudna obrona spoczywała w rękach znanych krakowskich adwokatów mecenasa dra Ludwika Szalaya (Taszycka) i dra Przeworskiego (Grodzki).

Celem rozprawy było wykazanie, czy Grodzki ponosi sam winę ohydnej zbrodni, czy też działał pod wpływem Taszyckiej, z którą łączyły go bardzo bliskie stosunki.

Zdania publiczności „kryminalnej" były podzielone, większość jak można to było wywnioskować z podchwytnych rozmów, była po stronie Grodzkiego, uważając go za ślepego wykonawcę woli swej „ubóstwionej", która była moralną sprawczynią tembardziej mrożącego krew w żyłach mordu, że popełnionego na jej własnej matce. Zwłaszcza rodzaj żeński, nie czekając na zakończenie rozprawy, *a priori*, potępił oskarżoną, biorąc stronę Grodzkiego i uznając go za ślepe i bezwiedne narzędzie w jej ręku.

Bezstronny widz, który na sali rozpraw znalazł się nie celem szukania sztucznego podrażnienia nerwów, lecz z obowiązku i śledził bacznie przebieg rozprawy w najdrobniejszych jej szczegółach, doszedł do wniosku, że obydwoje oskarżeni to prawdziwie „chore dusze", dla których miejsce nie za kratami więzienia, lecz w murach sanatoryum dla nerwowo chorych. To wyrażenie „chora dusza" odpowiada zwłaszcza stanowi psychicznemu Taszyckiej, zmuszonej pędzić życie w nadzwyczaj dusznej atmosferze, wywołanej stosunkami rodzinnymi. Pod jej wpływem zostawał Grodzki, człowiek o słabej sile woli, łatwo też przydarzyć się mogła okoliczność, podająca mu broń morderczą do ręki w myśli, że w ten sposób uszczęśliwi i ją i siebie.

Żądnych senzacyi spotkał przykry zawód. Rozprawy nie doprowadzono do końca z powodu poważnego zasłabnięcia mecenasa dra Szalaya, będącego następstwem przepracowania i zbytniego wytężenia nerwów. Odroczono ją do października, pozbawiając ciekawych tej nadzwyczajnej emocyi, jaką miał im dać ostatni akt tej wstrząsającej tragedyi.



Bohaterowie życiowej tragedyi: Adw. Dr Ludwik Szalay, obrońca oskarżonej Z. Taszyckiej.



Bohaterowie życiowej tragedyi: Henryk Grodzki, morderca ś. p. Emilii z Teichmannów Sądeckiej.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłóm. Marya Toczyska).

36

Stary nie zdążył jeszcze wypowiedzieć ostatniego zdania, kiedy do biura wszedł sędzia Rodauet. Był wściekły.

— Nie rozumiem nic z tego wszystkiego! — pan prokurator wcale nie pytał o mnie.

— Zaszła zapewne pomyłka! — odpowiedział pisarz — zresztą pan sędzia musiał zauważyć, że to nie Prosper woźny pana prokuratora był tutaj.

— Ach tak! prawda! — zawołał pan Rodauet — ale zawsze niepotrzebnie mnie odwołali. Powrócimy do roboty panie Derlevel — dodał. — Ta mała Levasseur już przybyła, muszę więc pospieszyć się z jej przesłuchaniem. — No, prędko, ostatnie słowo?... czy pamięta pan? Na miłość boską niechże się pan pospieszy.

Tymczasem na korytarzu w otoczeniu straży Zanetta z biciem serca czekała na wezwanie pana Rodauet. Była tak zatopiona w swojej boleści, że nie zauważyła nadejścia swojego obrońcy. Był to ten sam, który kilka chwil przedtem wyszedł był z kancelaryi sędziego śledczego. Na widok adwokata dozorca Zanetty odsunął się dyskretnie, nie chcąc przeszkadzać rozmowie.

— Zanetto — odezwał się cicho Paweł de Varellés, dotykając lekko jej ramienia — posłuchaj mnie a przedewszystkiem nie okazuj żadnego wzruszenia...

Na te słowa młoda dziewczyna podniosła machinalnie głowę i patrzała zdumiona.

— Jutro będziesz wolną — ciągnął dalej Paweł — nie staraj się dowiedzieć dla jakiej przyczyny, bądź spokojną... ja będę przy tobie.

Zanetta patrzała wciąż na mówiącego z wzrastającem zdziwieniem. Lecz twarz jej nie rozjaśniał błysk radości, jak tego spodziewał się Paweł. Miała ona duszę prostą i uczciwą. Już od pewnego czasu czuła dziwny jakiś pociąg do tego nieznajomego, któremu zawdzięczała wyratowanie z rąk opryszków, lecz ostatnie zajścia z ajentem Sapipem rozwiały te błyski rodzącej się nagle sympatyi. Nie wiedziała teraz jeszcze, kim był ten człowiek, któremu pozwoliła nieopatrznie wejść do swojego mieszkania. Czy był on godny jej wdzięczności i szacunku?

— Panie — odrzekła więc zimno, mierząc go oczyma. — Niewiem czego chcesz odemnie. Nie potrzebuję żadnej pomocy... jestem niewinna... sumienie moje czyste.

— Moje biedne dziecko, to tak mało znaczy dla sędziego śledczego. Ty musisz...

— Niech pan nie nalega... zdaję się na łaskę losu.

Ten szczególny opór zastanowił Pawła. Nie mógł jej przekonać i wzbudzić ufność w swoje słowa, bo w każdej chwili drzwi od gabinetu pana Rodauet otworzyć się mogły!...

— Jeszcze tylko jedno słowo — nalegał powtórnie — mówiłaś mi kiedyś Zanetto, że był człowiek, który przysiągł ojcu twojemu zaopiekować się tobą, prawda? — otóż ten człowiek nie zapomniał o tem przyrzeczeniu, przyszedł on dziś do ciebie spłacić ten dług wdzięczności.

Smutne oczy Zanetty rozbłysły nagle radosnem światłem.

— Jakto? — wyszeptała z trudem — to pan?... pan?

— Tak, Zanetto, to ja... jestem jak ty oskarżony o popełnienie zbrodni, której nie popełniłem i zmuszony ukrywać się aż do dnia wyświetlenia prawdy. Wierzysz mi teraz Zanetto? Za chwilę staniesz przed sędzią śledczym... nie zdradź swojego wzruszenia. Cobądźby się stało, jutro będziesz wolną, pamiętaj. Jedynem pragnieniem mojego życia jest czuwać nad tobą i uczynić cię szczęśliwą!

Wyrzekłszy te słowa, Paweł oddalił się spiesznie, lękając się, aby zbyt przydłużona rozmowa nie zwróciła uwagi dozorcy.

W tej chwili w drzwiach gabinetu swojego stanął pan Rodauet i wymówił donośnym głosem:

— Panna Levasseur!

— Proszę, usiądź pani — rzekł sędzia uprzejmie, kiedy Zanetta znalazła się już w pokoju. — Zawezwałem panią już poraz ostatni i jedyną radę jaką dać mogę to... mówić prawdę, absolutną prawdę. Niechże pani przedewszystkiem powie nareszcie, kto jest ten człowiek, którego Lapipé znalazł w pani pokoju? Nie mogę uwierzyć, aby go pani nie znała?

— A jednak tak jest, panie sędzio.

— Na miłość boską, dlaczego to kłamstwo! — uniósł się pan Rodauet. — Czy pani chce się



— Zanetto — odezwał się cicho Paweł de Varellés — nie okazuj żadnego wzruszenia.

zgubić. No! moje dziecko, niechże się pani zastanowi, nikt w to nie uwierzy.

— A jednak tak jest powtórzyła Zanetta.

— Nic pani nie wie o tym człowieku?

— Nic.!

— Czy jest pani gotowa poprzeć przysięgą to zeznanie?

Zanetta powstała śmiertelnie blada. Czy będzie mieć odwagi kłamać dalej, kłamać nawet w obliczu Boga. Ale tajemnica, jaką jej powierzono nie należała do niej, ona nie mogła zdradzić swojego wybawcę. Spuściła więc oczy i wyszeptała ledwo dosłyszalnie.

— Tak, jestem gotowa przysiądz.

— Dobrze — odparł poirytowany swojem niepowodzeniem sędzia. — Upór pani jest niezwalczony. Powróci pani tymczasem do więzienia, a potem zobaczymy co z tego wyniknie.

Przycisnął guzik od dzwonka elektrycznego i rozkazał wchodzącemu dozorcy:

— Proszę zabrać tę panią!

Opuściwszy Zanettę Paweł de Vereillés pospieszył ku bocznym ukrytym schodom, łączącym piętra pałacu sprawiedliwości mało przez kogo uczęszczanych i w przeciągu paru minut zmienił dotychczasowe ubranie na liberyę chłopca do posług, dzięki to któremu mógł nie poznany wejść do biura sędziego śledczego. Wkrótce potem był już na ulicy, gdzie wszedł do pierwszej napotkanej kawiarni i usiadł, każąc sobie podać przybory do pisania.

Ale nagle zadrżał całem ciałem. Do kawiarni wchodził agent Lapipé. W pierwszej chwili Paweł stracił głowę, sądził bowiem, że ajent śledził go i mógł teraz skorzystać ze sposobności, zaaresztować go i odwieźć na policyę. Ale Lapipé widocznie nie dojrzał go, kupił bowiem tylko parę papierosów i wyszedł po chwili spokojnym krokiem na ulicę.

Paweł odetchnął. Na razie uniknął niebezpieczeństwa, ale czy na długo? Zabrał się więc szybko do wypełnienia imieniem Zanetty Levasseur blankietu zabranego z biurka sędziego śledczego, poczem wsunął papier do koperty i zaadresował: — „Dyrektor więzienia św. Łazarza ulica St. Denis".

— Zanetta uratowana — myślał uradowany, odnosząc list na pocztę.

Nazajutrz, po ostatniem przesłuchaniu u sędziego śledczego, do Zanetty drżącej z niepokoju i oczekiwania, przybliżyła się niespodziewanie siostra dozorująca i rzekła łagodnie:

— Moje dziecko, pójdziejsz do kancelaryi, czeka cię tam dobra wiadomość. Uwolnienie twoje nadeszło dziś rano.

Ogarnęło ją tak silne wzruszenie, że przez chwilę przemówić nie mogła. Zapanowała jednak nad sobą, przypomniawszy sobie uwagę Pawła i odrzekła napozór spokojnie:

— Dobrze, proszę siostry.

W kilka chwil później ciężkie drzwi więzienne otworzyły się przed nią i Zanetta znalazła się na ulicy. W ulicy czekał Paweł z automobilem. Zaledwie pojazd ruszył, Zanetta ze łzami w oczach zwróciła się do niego.

— Panie, nie jestem w stanie wyrazić wdzięczności, jaką winnam panu.

— Nie wymawiaj nigdy tego słowa, Zanetto — przerwał jej szybko — Wykonywam w tej chwili święte zobowiązanie, ale zanim nie oczyszczę się z plamy ciążącej na mnie, nic więcej powiedzieć ci nie mogę. W dniu tym Zanetto zgłoszę się do ciebie po nagrodę, na którą zasłużyłem może.

Serce Zanetty zadrżało głębokiem przeczuciem. Domyślała się znaczenia słów Pawła i wyszeptała wzruszona:

— A ja w dniu tym, zapewniam, nie okażę się niewdzięczną.

Paweł zawiózł Zanettę do Passy, gdzie umieścił ją pod troskliwą opiekę znanej mu właścicielki pensyonatu. Żegnając się z nią, rzekł serdecznie:

— Odtąd Zanetto, żyć tu będziesz zdala od wszelkich trosk i niepokojów. Czas twojej próby przeminął. Poraz pierwszy w życiu cieszę się, żem jestem bogatym człowiekiem.

— Ach! mój przyjacielu — odpowiedziała Zanetta. — Jakąż wielką i szlachetną masz duszę.

A jednak myśl jakaś ukryta dręczyła ją widocznie, bo umilkła nagle, odwracając oczy.

— Jest jeszcze coś, co cię niepokoi, Zanetto — przemówił łagodnie Paweł, widząc jej zmieszanie — powiedz, czyż szczerość nie powinna istnieć między nami?

— Dlaczego więc, powiedz mi — wymówiła jakgdyby pod przymusem — zabiłeś tego oficera pruskiego, ty człowiek tak dobry i łagodny?

— Uspokój się — odpowiedział Paweł poważnie — Działałem w najlepszej myśli. Przyjdzie dzień, w którym wytłumaczę ci to wszystko i wtedy zrozumiesz moje pobudki.

— — — — — — — — — — —

Minęło parę dni, Pan sędzia Rodauet znajdował się w swoim gabinecie, kiedy do pokoju wszedł inspektor Lapipé.

— Panie sędzio — rzekł z zadowoleniem — przychodzę z dobrą wiadomością.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BERBERYJSKIE KOZY

(Tłómaczenie z angielskiego).

18

Siadła na fotelu i wzięła książkę. Była to francuska powieść. Przy pierwszych kartkach wydało się jej, że słyszy stukanie wysokich obcasów na trotuarach paryskich. Ubóstwiała Paryż! Byłoby rozkosznie widzieć go znowu, chodzić po sklepach.

Benszaalal zaczął śpiewać o Kaidzie, który kochał tancerkę.

Książka wypadła jej z ręki.

Śpiew był brzydki, zupełnie brzydki. Ten zawodzący głos nie miałby żadnego powodzenia w jej świecie, a jednak była pod jego urokiem, uczuła żal, że nie jest wolną jak mężczyzna, który może pójść za każdą swą zachcianką. badać każdą tajemnicę, która go pociąga, kierować swe kroki na każdą ścieżkę, która zdaje się prowadzić do kraju jego marzeń.

Głos Benszaalala zamarł pod gwiazdami. Lady Wyverne wzięła się znów do książki, ale wszystkie ponęty Paryża ulotniły się z jej kartek.

Benszaalal śpiewał znowu.

Wiedziała bardzo dobrze dlaczego śpiewa. Przywoływał ją, lecz ona go nie usłucha, wkrótce zamknie zaluzye, zgasi światło i położy się. Spojrzała na łóżko. Nie, nie będzie mogła spać.

Pomyślała o jutrze. Jutro wyjadą, znowu będzie sam na sam z Crumpet. Jej intermezzo ze spahisem otworzyło jej oczy na nicość Crumpet — z wyjątkiem kiedy był zły. Czuła, że gdyby gniew w nim powstał, mąż jej mógł być strasznym. Ale inaczej. — Było coś tragicznego w posiadaniu męża, który mógł być interesującym tylko wtedy, gdyby był rozgniewany.

Benszaalal był zawsze interesującym, a nigdy nie widziała go rozgniewanym. Śpiewał teraz o moabicie, który zabił zięcia Proroka.

Nastała cisza. Nasłuchiwała, spodziewając się nowej pieśni, lecz cisza trwała. Pomyślała, że spahis zrozumiał, że woła napróżno.

Czy odszedł?

Pragnęła wiedzieć, lecz nie ruszyła się z fotelu i zabrała się znów do książki. Czytając o Paryżu, przypomniała sobie astrologa, stanęły w pamięci napisane słowa. Astrolog przewidział, że mąż może ją stracić — gdyż tak tłumaczyła wyrażenia „grande perte". Lecz czy ją kiedykolwiek posiadał? A ona, czy była zdolną oddać się komu zupełnie? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że spahis zyskał nad nią większą władzę niż ktokolwiek do tej pory i że gdyby nie strach, który otworzył jej oczy na rzeczywistość, władza ta wzrastałaby coraz więcej.

Westchnęła i znowu spojrzała na łóżko.

Nie może być mowy o tem, żeby zasnęła.

Pomyślała, gdzie też mąż jej teraz się znajduje. Prawdopodobnie pod namiotem na polowem łóżku śpi, chrapiąc, a o świcie wyjdzie ze strzelbą na ramieniu.

A jeśli Achmed mu powiedział!

Lecz usta Achmeda były zamknięte pieniądzmi spahisa, była tego pewną. Czuła, że powinnaby być tem oburzoną. może w innym kraju byłaby oburzoną, ale tutaj. —

A jednak nie kochała tego człowieka. Nie kochała go, czuła tylko silną skłonność iść za nim i być mu posłuszną.

Gdyby tylko odszedł, żeby mogła wyjść na werandę i odetchnąć świeżem powietrzem pustyni! miała wrażenie, że się dusi w pokoju.

Spakowała swoje rzeczy, żeby być gotową do jutrzejszej podróży, była w podróżnej sukni, jak to spahis zauważył. Suknia wydała się jej ciężką, uie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, wstała, podeszła do kufra i wyjęła inną, lżejszą ciemno-czerwoną. Nie miała jej jeszcze na sobie w El-Akbara. Prędko się przebrała i spojrzała w lustro; zdziwił ją wyraz podniecenia na twarzy. Strój jej wydawał się niedokończonym bez klejnotów. Miała pod ręką szkatułkę z biżuteryą, otworzyła ją i wyjąwszy długi łańcuch brylantowy, zawiesiła go na szyi.

Słyszała, że arabowie kochają się w klejnotach, że ich kobiety są okryte złotemi monetami i drogocennymi amuletami. Zapragnęła, żeby spahis ją zobaczył w tej sukni z brylantami. Już pewnie nigdy się nie spotkają, zapomni o niej. Chciałaby mu zostawić ostatnie wspomnienie, któreby zatarło obraz szlochającej i posłusznej kobiety.

Westchnęła znowu, bawiąc się łańcuszkiem i po chwili uczyniła to, czego postanowiła nie czynić, wyszła na werandę.

Już było późno, gospodarze i służba hotelowa udali się na spoczynek. Głęboka cisza panowała w tym zamkniętym skałami świecie, graniczącym ze światem wolności, cisza, którą przerywał tylko szum rzeki. Lady Wyverne wpatrzyła się w księżyc, jak zwolna się wynurzał z poza szczytu skały i wreszcie wypłynął na gwiaździste niebo. Następnie spojrzała na ciemne drzewa i bielejącą za niemi drogę. Nie było na niej nikogo. Oczy jej pobiegły dalej, na niewyraźne zarysy gór. Jej mąż przebywał gdzieś pośród nich. Z nastaniem nocy lekki niepokój, który ją przez cały dzień nurtował, ustąpił zupełnie. Sir Clando był z pewnością daleko.

A Benszaalal?

Jakiś cień się ukazał na drodze, biegnąc w stronę pustyni. Znikł, zanim zdołała mu się przypatrzeć, wiedziała tylko, że to arab. Drgnęła zwróciła się nawet w stronę oświeconego pokoju, powodowana nagłem uczuciem niebezpieczeństwa w tem pustkowiu; lecz usłyszała cichy śpiew spahiss. Nie wiedziała gdzie jest, była tylko pewną, że czeka na nią, że ją widział i przyzywa do siebie.

I znowu, jak tyle razy w jej życiu, lekkie, lecz samowolne i uparte ręce kaprysu chwyciły ją, a ona im się poddała.

Nie tracąc czasu na zarzucenie płaszcza, wyszła na ciemne schody, a z nich na dziedziniec.

XIV.

Benszaalal stał pod werandą i uśmiechnął się na widok Lady Wyverne. Przez pewien czas pozostał nieruchomy, patrząc na jej wdzięczną postać w czerwonej sukni, z iskrzącymi w księżycu brylantami. Jak czarodziejsko wyglądała, jak niepodobna do przerażonej kobiety nad rzeką. Przeszła przez dziedziniec, kierując się w stronę gościńca, podążył i zrównał się z nią.

Kiedy go zobaczyła, rzekła cichym głosem:

— Czy pan widział tego człowieka, który biegł drogą?

— Madame?

— Przed chwilą jakiś człowiek biegł tam! Wskazała na wejście wąwozu.

— Nie widziałem nikogo, madame, lecz nie myślałem o mężczyznach. Czy to był arab?

— Tak.

— Pójdźmy w tamtą stronę

— Nie. Zeszłam tylko żeby się pożegnać; wyjeżdżamy jutro. Zgłupiałam tutaj i rada jestem wyjechać.

Stała, patrząc na niego i bawiąc się łańcuszkiem. Benszaalal lubił klejnoty i wszystko co błyszczy, to podniecało jego wschodnią wyobraźnię i zmysły. Nie było bardzo rozsądnie ze strony Lady Wyverne że się w nie ubrała tego wieczoru; widziała jak się im przypatrywał, a kiedy spojrzał na nią, dostrzegła w jego oczach błysk stali.

— Przejdźmy się ostatni raz wąwozem — Wstrząsnęła głową.

— Po tem, co zaszło dziś rano — nie! Miałam dość strachu! To było dla mnie nauką!

Mówiła w sposób jaknajlżejszy, dziecinny, starając się wybić mu z pamięci swój histeryczny atak.

— Nauką daną przez pani męża?

— Tak!

— A tej nocy on daje inną naukę, madame. Czy pani nigdy nie pozna znaczenia berberyjskich kóz?

Rzucił nerwowe spojrzenie w stronę hotelu jakby się obawiał, że są podglądani. W odpowiedzi na to spojrzenie rzekła:

— A zatem wyjdźmy tylko za drzewa.

Otworzył furtkę, wyszli na drogę i uczynili kilka kroków.

— Pan nie rozumie Anglików — rzekła.

— Mon Dieu, madame, jakim sposobem mógłbym ich rozumieć? — Wzruszył ramionami. — My mamy krew rozgrzaną codzień przez słońce, my arabowie, nie możemy rozumieć ludzi północy.

Patrzał znowu na łańcuch, każdy brylant mówił mu o księżycu.

— Pan myśli...

Zawahała się. Wiedział, że myśli, że jej mąż o nią nie dba, że utonął całą duszą w polowaniu. Takby się mogło zdawać, lecz ona wiedziała, że tak nie jest. A jednak wpływ tego człowieka był tak silny, że udzielił jej swego powątpiewania.

Uczynił kilka kroków naprzód. a ona poszła za nim jakby bezwiednie.

— Madame, ja znajduję, że jeżeli kobieta nie chce czegoś widzieć, nie powinna tego widzieć; jeżeli nie chce czegoś rozumieć nie powinna rozumieć. Czy jestem w błędzie? Jestem tylko arabem, nie mogę wiedzieć, mogę tylko przypuszczać i zgadywać.

Pokora w człowieku z jego oczami, wydawała się niedorzecznością,

— Tylko arabem! — zawołała Lady Wyverne. Nie mogła podzielać zdania męża o tych brunatnych ludziach. Wydawali się jej subtelni jak kobiety, z dziwną mieszaniną zniewieściałości z dzikością.

— Pani pewnie myśli, że jesteśmy barbarzyńcami?

Spojrzała na niego.

— Pani się nas może obawia? — dodał — pani myśli, że jesteśmy zdolni do wszystkiego?

— Mnie się zdaje — że to być może.

Szli ciągle w stronę bramy Sahary. Szum rzeki im towarzyszył, srebrne światło księżyca ich otaczało. Oczy Benszaalala kierowały się instynktownie na ogniste brylanty, zwieszające się z szyi młodej kobiety.

— Czy to nie lepiej? Czem jest człowiek który nie jest zdolny do wszystkiego, jeżeli wszystko czuje, wszystkiego pragnie? Czy pani żąda, żeby jego ruchy były powolne, mowa umiarkowana. twarz spokojna, kiedy jego serce płonie ogniem, kiedy natura krzyczy, kiedy krew w nim kipi, jak ta rzeka uwięziona w ciasnym korycie? Ona pragnie wolności i człowiek jej pragnie, pragnie być takim, jakim jest w rzeczywistości, pragnie kochać i nienawidzieć, jak mu jego krew każe. Anglik! On tego nie pragnie. Czego on pragnie? berberyjskich kóz, mon Dieu! berberyjskich kóz? — zaśmiał się cicho — Dobrze więc na imię Allaha i jego Proroka, niech Anglik ma swoje berberyjskie kozy, lecz niech arab otrzyma... — urwał i zwolna dodał — spełnienie swych pragnień.

Lady Wyverne, czuła, że te słowa ją palą jak żar. Zaleciała ją znowu woń perfum spahisa, stanęła.

— Dokąd idziemy? — rzekła — powiedziałam, że nie chcę przechadzki.

— Madame, to po raz ostatni. Jutro pani wyjedzie, a ja — ja ruszam w moją trzydniową podróż w pustynię. Pani nigdy tutaj nie wróci. To będzie pożegnanie.

— Tak, pożegnanie.

Znowu uczuła pokusę. Pragnienie skosztowania, tylko skosztowania tajemniczego życia Afryki narzuciło się jej z całą gwałtownością. Jej własne życie wydało się takie szablonowe, puste; było bezpieczne, prawda, lecz strasznie jednostajne i pospolite.

— Ale...

— Pani musi się pożegnać z pustynią, madame.

— Co panu się zdaje, jutro jedziemy do Beni-Mora.

Benszaalal nic nie odrzekł, patrzał na nią w milczeniu, tylko w jego oczach odbiło się jakby ironiczne politowanie i zdziwienie.

— Dlaczego... dlaczego pan na mnie patrzy w ten sposób? — rzekła.

— Czy madame... nie wie?

— Nie wie... czego?

— Że m'sieu ... — odwrócił się od pustyni.

— Nie wiem. Nie rozumiem.

— A zatem wolę zamilczeć. Madame, dowie się jutro.

— Proszę mi powiedzieć teraz, zaraz.

— Dzisiaj... czy madame nie zauważyła nic dziwnego w zachowaniu się m'sieu?

— Tak jest, ale co to znaczy?

— Że m'sieu jest znudzony Afryką, że jutro odwróci się od pustyni. W Beni-Mora nie ma berberyjskich kóz, a zatem m'sieu nie pojedzie do Beni-Mora.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

„Niema złego, aby na dobre nie wyszło“... powiada mędrzec Pański. Gdyby nie owa abstynencka ustawa uchwalona przez nasz Sejm, a skazująca nas na nieustające pragnienie w niedziele i święta, nie bylibyśmy się nigdy może dowiedzieli, co to za wyborny trunek podają nam w naszych restauracyach i handelkach pod nazwą piwa, a po cenie *tylko* pięć mareczek za bomkę.

Niektórzy z restauratorów, nie sprzedający w dni zakazane piwa, a spoglądający zawistnem okiem na konkurentów, nie stosujących się do rozporządzenia, dali ów napój, zwany piwem, do zbadania chemicznego, z którego się okazało, że zawartość alkoholu wynosi nie dwa i pół procent, ale *jeden i siedm dziesiątych*, że więc w niedzielę i święta można go nie tylko pić, ale nawet w nim się kąpać. Wobec tego wyniku badań, przeprowadzonych przez urzędową osobę, bo przez chemika miejskiego, wydział „Eleuteryi“ zezwolił swym członkom na używanie piwa, nie tylko potajemnie, w domu, ale i publicznie.

Roma locuta, causa finita... Odtąd na pragnienie w niedziele i święta może narzekać tylko ten, komu brak gotówki.

Z jednej więc strony radość, z drugiej jednak zmartwienie, jako odwrotna strona medalu. Po orzeczeniu chemika miejskiego ogarnęła każdego z piwoszów prawdziwie szewska pasya, że za drogie pieniądze pije podobne świństwo. Dawniej wyobrażał sobie, że tam jest bodaj pięć procent alkoholu (choć dziwił się, że się na tem piwie tak trudno „urżnąć“...), dziś wie, że w najlepszym wypadku jest tam alkoholu zaledwie jeden i nieco więcej nad pół procentu. Jest to zatem, można śmiało powiedzieć, denaturowana woda.

Piwo to może zatem, jako odpowiadające wymogom ustawy, nosić nazwę „świętalnego“, tem się przecież różni od świętalnej śliwowicy, że gdy ona ma odpowiedni smak, zapach i siłę, jemu tego wszystkiego brak.

Ubiegłą niedzielę spędziliśmy zatem pod wrażeniem ulgi, że, pijąc piwo, nie narażamy duszy na zatracenie, a restauratora na odpowiedzialność. O żołądku nikt nie pomyślał, choć on, jako bezpośrednio interesowany, powinien w pierwszym rzędzie być respektowanym.

Humory psuła jedynie notatka jednego z pism codziennych, że do Krakowa zjechało na gościnne występy wielu odsiadających karę włamywaczy. Jak się okazało z dokumentów jednego z nich, przytrzymanego na gorącym uczynku, otrzymał on dwumiesięczny urlop z kryminału, celem „poratowania zdrowia“, a że jest wyznawcą zasady, iż bezczynność miewa jak najgorsze następstwa, nie chcąc próżnować, zabrał się zaraz do pracy.

Dużo ludzi przejmowała nie tyle obawa, że przyszedłszy do domu, mogą mieszkanie zastać splądrowane, ile zazdrość, że złodziej dostaje urlop z urzędu, a urzędnik musi się o to prosić.

Wogóle w obecnych czasach zawód bandytów, złodziei, włamywaczy i t. d. staje się coraz bardziej ponętnym, nie tylko bowiem opłaca się materyalnie, ale połączony jest z różnemi udogodnieniami na wypadek dostania się do kryminału, który obecnie ma posiadać najbardziej postępowe urządzenia, do których zaliczyć należy i owe urlopy „dla poratowania zdrowia“. Skazany na śmierć powinien *eo ipso* otrzymać przed wykonaniem wyroku bodaj kilkomiesięczny urlop „celem pożegnania się ze światem“. Jak postęp, to postęp!

Wobec tych stosunków nic też dziwnego, że towarzystwo w kryminale staje się coraz bardziej dobrane, a starania o przyjęcie napotykają większe trudności, niż dawniej przy ubieganiu się o godność członka Końskiego kasyna.

Dzięki okoliczności, że piwo mamy bardzo cienkie i możemy się niem raczyć dowoli nawet w niedziele i święta, dyskusya w knajpach była bardzo ożywiona, a tematem jej były sprawy najżywotniejsze, n. p. podniesiona przez *Kuryera* kwestya, czy Joanna d'Arc była blondynką czy brunetką, koniec roku szkolnego i wyjazd na wakacye, szczególnie zaś przesilenie gabinetowe.

Co do pierwszego punktu, to kwestyę rozstrzygnięto bardzo łatwo. Joanna d'Arc mogła być i blondynką i brunetką (miał zatem racyę i ów Bolończyk i ów mnich...), już wówczas znane bowiem były środki kosmetyczne, służące do farbowania włosów.

Na drugą kwestyę trudniej już było znaleźć wytłómaczenie. Rozchodziło się głównie o to, co władze szkolne miały na celu, każąc naukę kończyć dziewiętnastego czerwca, a na rozdanie świadectw przeznaczając dzień dwudziestego piątego. Narzeka się, że młodzież, nie mając czem zabić czasu, wałęsa się po mieście, a tu tymczasem sama szkoła daje tydzień przymusowego próżniactwa, bo nie każdego stać na to, by mógł pojechać do domu, a wrócić dopiero po świadectwo. Ponadto tych uczniów szkół średnich, którzy mają braci lub siostry w szkołach powszechnych i wydziałowych, czeka jeszcze drugi tydzień „wywczasów miejskich“. W tamtych szkołach lwowska Rada szkolna naznaczyła koniec roku na dzień 30. czerwca, zatem ojciec, aby sobie oszczędzić wydatków, dopiero wtedy zjedzie do miasta po swe pociechy.

Czy podobne zarządzenia mają racyę, w to należy bardzo wątpić, choć je wydały takie poważne władze, jak Ministerstwo oświaty i Rada szkolna krajowa.

Trzeci temat niedzielnych rozmów był poprostu niewyczerpany. Stanowiło go przesilenie gabinetowe, dymisya Skulskiego i wszelkiego rodzaju kombinacye na ten temat.

A jako powodem przesilenia i bezpośrednią przyczyną upadku gabinetu była aprowizacya, od niej też każdy zaczynał, bo to temat bardzo wdzięczny. Aż lżej się robi człowiekowi, gdy się może wygadać bodaj w gronie przyjaciół.

Teraz dopiero przekonujemy się, że mieli racyę ci, którzy nas uczyli zamłodu, że żołądek jest gospodarzem i najważniejszą częścią ciała, której inne muszą służyć.

Bo czyż nie jest tak w samej rzeczy?... Czy ucho nie nadsłuchuje, gdzie możnaby coś kupić dobrze i tanio, czyż oko nie wypatruje tego?... Potem nos wącha, język smakuje, ręce wyciągają się chciwie po każdy kąsek, nogi niosą w tym celu w najodleglejsze okolice lub wystają godzinami w ogonku. A wszystko to w służbie wszechwładnego żołądka. Dla niego zgina się kark, aby dostać jak najwięcej i szuka się „pleców“, aby nie być pominiętym przy rozdawnictwie darów amerykańskich.

Skore żołądek jest tak ważną częścią ciała, nic też dziwnego, że jest osobne ministerstwo, mające czuwać nad tem, aby mu nic nie brakło.

Jest to wynalazek wojenny, ale też żołądek nie był nigdy w takiej opresyi, w jakiej się znalazł dzięki wojnie.

I, zanim przystąpię do samego przesilenia, chciałbym słów kilkoro tej właśnie poświęcić instytucyi.

Wyczytałem niedawno w sprawozdaniu sejmowem narzekania jednego z posłów, że w ministerstwie aprowizacyi jest tylko... sześćdziesięciu siedmiu szefów sekcyi! On twierdzi, że to trochę zawiele, ktoś tam odpowiada, że nie, każdy bowiem artykuł codziennej potrzeby musi mieć swego osobnego referenta. Niekoniecznie bowiem jeden i ten sam musi się znać n. p. na słoninie, musztardzie i knotach do lamp. Mając zaś tylu szefów sekcyi, choćby nawet z „domowem wykształceniem“, można między nich podzielić odpowiednio resorty. Jak to pięknie wyglądałby bilet wizytowy z napisem: „N. N. szef sekcyi zaopatrywania ludności w knoty do lamp“ albo „X. Y., szef sekcyi wykławaczów i papieru klozetowego„.

Prawda, że z powodu tego nadmiaru dygnitarzy cierpi skarb państwa i sama aprowizacya, bo oni zjadają, co dla innych przeznaczone, ale i na to jest rada.

Można się ich łatwo pozbyć, zwłaszcza, że nadarza się dobra sposobność z okazyi zmiany gabinetu.

Ponieważ w jednem ministerstwie, choćby nawet tak ważnem, jak amunicyi żołądkowej, czyli aprowizacyi, sześćdziesięciu siedmiu szefów sekcyi to stanowczo zawiele, należałoby z pomiędzy nich wybrać dziesięciu, lub niechajby nawet i cały tuzin, najtęższych (umysłowo, nie fizycznie!...) i tych zostawić, resztę zaś sprzedać w drodze publicznego przetargu najwięcej dającemu.

W „Monitorze polskim“ powinien się pojawić anons tej treści:

„*Wielka wysprzedaż sezonowa niżej cen fabrycznych*. Do sprzedania drogą publicznego przetargu najwięcej ofiarującemu pięćdziesięciu pięciu wybrakowanych, ale jeszcze zdatnych do użytku szefów sekcyi. Oglądać można codziennie w godzinach urzędowych (o ile naturalnie ci panowie przychodzą czasem do biura). Wymiana, lub zwrot ceny kupna wykluczone“.

Od aprowizacyi zacząwszy, możnaby w ten sposób uwolnić i inne ministerstwa od niepotrzebnego a kosztownego balastu, nie brak ich bowiem i gdzieindziej. I na prowincyi znajdzie się dość urzędników nawet z „domowem wykształceniem“, ale w randze szefów sekcyi. Wywozi pan minister aprowizacyi za granicę cukier, aby drogą zamiany dostać sztuczne nawozy, niech się raczej pozbędzie tego „towaru“, bez którego łatwiej się obejść, niż bez cukru.

Swojego czasu miała ś. p. Austrya najwięcej emerytowanych ministrów i nie mogła się ich w żaden sposób pozbyć, my mamy znów całe zatrzęsienie szefów sekcyi w czynnej służbie.

Spyta kto może, skąd na nich taki urodzaj?... Odpowiedź łatwa. Każdy z panów posłów ma swych gagatków i benjaminków, wobec których w czasie wyborów zaciągnął dług wdzięczności i stara się go spłacić, ale nie ze swej kieszeni. Każdy z nich jest zdania, że wyjdzie na tem lepiej, jeśli go państwo zastąpi. Pchają też protegowanych, gdzie się da, minister, choćby się chciał nawet i sprzeciwić, nie może, aby się nie narazić wszechwładnemu panu posłowi.

Na razie „fabrykacya“ szefów sekcyi została zawieszona, ale tylko do czasu, dopóki nie będzie gotowy nowy gabinet, który w chwili, gdy kronikarz zajęty jest swą pracą w Krakowie, składa pan Skulski, ale, jakoś mu to nie szło tak łatwo, choć aptekarze mają szczęście do wszystkiego, co tylko wezmą w swe ręce.

Jaki będzie przyszły gabinet, oto kwestya, która zajmuje wszystkich. Mówiono o koalicyjnym, fachowo-urzędniczym, centrowo-lewicowym, każda koncepcya natrafiła przecież na trudności nie do przezwyciężenia. W aptece znajdują się środki na wszelkie dolegliwości, nic zatem dziwnego, że pan Skulski miał ratować sytuacyę.

Nowy gabinet jeszcze się nie urodził a już mu wróżono, że nie będzie miał szczęścia i długo się nie utrzyma, bo nawet aptekarz nie potrafi zadowolić wszystkich stronnictw, a dziś to grunt. Endecy swoje, ludowcy swoje, socyaliści swoje — każda frakcya ma żądania, od których spełnienia czyni zależnem wstąpienie do rządu i jego poparcie.

Już się zdawało, że będziemy mieć gabinet centrowo-lewicowy, doszło nawet w kwestyi aprowizacyjnej do jakiegoś porozumienia, ale widocznie przypomniano sobie, że ludowcy ogromnie nie lubią dotrzymywać zobowiązań, że zatem cały kompromis nie wart funta kłaków. Zresztą był to swojego rodzaju dziwoląg, można go sobie bowiem było tłómaczyć, jak komu wygodniej. Niby kontyngent, niby sekwestr, niby wolny handel, z każdej beczki odrobina, w gruncie rzeczy nic realnego.

Zgasł też ten gabinet z powodu braku sił życiowych i to jeszcze przed przyjściem na świat.

Nam potrzeba gabinetu w całem tego słowa znaczeniu koalicyjnego, to jest takiego, w którym znaleźliby się przedstawiciele wszystkich stronnictw, ale ożywieni chęcią pracy dla całego kraju, a nie dla jednej partyi. Dopóki nasi politycy nie nabędą tego przeświadczenia, że jedynym dla nich wskaźnikiem ma być dobro ogółu a nie interesy partyjne, dopóty niema mowy o jakimś silnym rządzie. Nie powinno się sztucznie lepić większości, bo to, co zlepione musi się prędzej czy później rozlecieć, cały Sejm powinien popierać Rząd, na którego powstanie miał wpływ decydujący. Trzeba tylko trochę dobrej woli i zrozumienia interesów, ale nie własnych lub partyjnych, lecz ogólno-narodowych. Osłabiamy sami siebie, a chcielibyśmy, ady nas sąsiedzi uważali za silne państwo i liczyli się z nami.

Niestety, przesilenie gabinetowe nie miało się tak rychło skończyć, jak sądzono. Dziś sytuacya jest niby nieco jaśniejsza, każdej przecież chwili można się spodziewać nadciągnięcia z którejś strony chmury, która zasłoni horyzont — i tak niezbyt jasny.

Le roi est mort, vive le roi!

Nie udało się panu Skulskiemu zażegnanie przesilenia, choć jest aptekarzem i wie, co może „ruszyć“..., znajdzie się inny.

I znalazł się w osobie posła Brejskiego z N. P. R. ale tylko na krótki czas. Uznano tę kandydaturę za odpowiednią, skoro bowiem mieliśmy już premierów z Małopolski (Moraczewski), z Kongresówki (Skulski), dała go nawet Polonia zagraniczna, słusznem jest i sprawiedliwem, aby kolej przyszła i na zabór pruski.

Ale misya tworzenia gabinetu i rządowej większości i p. Breyskiemu się nie powiodła. Na jakiś czas wynurzył się jeszcze raz na powierzchnię p. Skulski i kto wie, czy nie byłby się i utrzymał, gdyby nie lista jego gabinetu, z której w żaden sposób nie może zniknąć pan Grabski.

I stało się, że w dniu dwunastym przesilenia powierzył Naczelnik Państwa misyę złożenia nowego gabinetu przedstawicielowi najsilniejszej grupy z bloku lewicowego, to jest posłowi Witosowi, który mandat naturalnie przyjął i rozpoczął z poszczególnemi stronnictwami targi o rozdział tek, co nie jest tak łatwe, bo ich mało, a kandydatów przynajmniej trzy razy tyle.

Czy środa nie przyniesie jakiej znowu zmiany, przewidzieć się nie da, niespodzianki nie są wykluczone. Za tydzień wrócimy jeszcze do tej sprawy, zwłaszcza, że chyba do tej pory gabinet się ukonstytuje i to, jeżeli nie Witosa, to bodaj jaki inny.

Co się zresztą odwlecze, nie uciecze!...

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM I.

6

— Nie nazywam Armine'a postępowcem, uważam go za idealistę. Od czasów Botticelli'ego najwyżej ceni on allegoryczne obrazy Watts'a. W nowoczesnej muzyce Elgar jest jego ulubionym kompozytorem, a w literaturze Tolstoj. Kocha tych, którzy mają ideały, chociażby te ideały nie były te same co jego. Jego motto nie jest „sztuka dla sztuki", ale „sztuka dla dobra ludzkości"?

— Czy jest humanitaryaninem?

— Jest wielkim wierzącym.

— W człowieka?

— W dobro, które jest w człowieku. Nieraz przychodziło mi na myśl, że on w głębi duszy wierzy, że akt wiary, jest prawie aktem tworzenia.

— Naprzykład, wierząc w uczciwość jakiegoś człowieka, czyni się poczciwym.

— Tak.

— Ach! Doktorze — zawołała Lady O'Ryen — proszę zapoznać Mrs. Armine z moim mężem, niech uwierzy, że jest skąpcem, a nie marnotrawcą. To będzie prawdziwa łaska dla rodziny, oczyścimy hypotekę na naszym majątku.

Rozmowa przybrała ton żartobliwy i utonęła w śmiechu.

Ale pod koniec obiadu Mrs. Derringhem znowu powróciła do Nigla Armina i spytała:

— A teraz co robi?

— Po wypuszczeniu majątku w dzierżawę, pojechał do Egiptu, kupił tam kawałek ziemi, zdaje mi się w Fayeme, i mieszka tam od dość dawnego czasu. Przypuszczam, że czyni jakieś rolne experymenta.

— A czy wierzy w uczciwość i wierność poganiaczy osłów?

— Nie wiem, ale słyszałam jak wychwalał cnoty Beduinów.

W tej chwili Lady Somerson zerwała się w swój zwykły, gorączkowy sposób i mężczyźni zostali sami.

Armine wstał ze swego miejsca, przy końcu stołu, i podszedł do dra Iseacsona:

— Cieszę się, Iseacsonie, że się znowu widzimy — powiedział — podając mu rękę.

Doktór ją uścisnął i siedli obok siebie, podczas gdy pozostali panowie zaczęli ze sobą rozmawiać, paląc papierosy!

— Jak dawno powróciłeś? — spytał doktór.

— Przed tygodniem.

— Tak dawno! A gdzie mieszkasz?

— W hotelu Savoy.

— Savoy?

— Czy to ciebie dziwi?

Błyszczące oczy doktora patrzały na Armine'a wesoło i życzliwie.

— Modny hotel wydaje mi się niewłaściwem dla ciebie miejscem. Mogę sobie ciebie wyobrazić w Alpach, na twoich wrzosowiskach w Etehingham nawet — jakże się to nazywa?

— Sennoures.

— Ale w Savoy, u Rity'a, Carlton'a — nie mogę. Ich złocone ramy nie są odpowiednie dla twojej osobistości.

— Bardzo mi dobrze w Savoy — odparł Armine.

Mówiąc to patrzył przed siebie, na przeciwległą ścianę, na której wisiała kopia obrazu Watts'a „Postęp". Twarz jego przybrała wyraz dziwnego spokoju, jakby zapominał gdzie się znajduje, i w jakiem otoczeniu. Meyer Iseacson, przypatrywał mu się z zajęciem. Było w tym człowieku coś — i to coś było zawsze — co budziło w doktorze życzliwość, podziw i zarazem pewną litość i tajemną obawę. Natura taka, myślał nieraz doktór, musi być preznaczoną do cierpienia na świecie, gdzie, bezwątpienia znajdują się tacy, którzy mają i kochają ideały, starając się wznosić coraz wyżej, ale gdzie większość dąży ustawicznie do zadowolnienia zmysłowych rozkoszy, zamykając uszy na głos, który, chociażby rzadko i cicho w każdym człowieku się odzywa.

— Co za wspaniałe dzieło! — rzekł wreszcie Armine, z westchnieniem — czy znasz oryginał?

— Widziałem w galeryi Compton.

— Postęp — idący nieprzeparcie, ciągle naprzód, bez względu czy go widzimy i czujemy — czy też nie. Co za chwała!

— Zawsze jesteś optymistą?

— Wierzę w zwycięstwo dobra. Codzień bardziej, bardziej w to wierzę — zwycięstwo dobra w świecie, i w jednostce. I im więcej tych wierzących, prawdziwie wierzących, tem prędzej, tem pewniej, zwycięztwo to nastąpi. Możesz w tem dopomódz Iseacsonie.

— Wierząc?

— Tak, to jest właściwa droga. Ale mój Boże! jak mało jest takich ludzi! Podejrzliwość jest najbardziej destrukcyjnym czynnikiem na



— Cieszę się Iseacsonie, że się znowu widzimy — powiedział, podając mu rękę.

świecie. Podejrzywając człowieka, zmusza się go, niejako, do dania powodu do nieufności. Podejrzenie względem kobiety, jest pchnięciem jej w otchłań fałszu. Jak ja tego nienawidzę, jak słyszę ludzi mówiących, że nie mają zaufania do kobiet.

— Kobiety mówią to samo.

— Te, które to mówią, są zdrajczyniami własnego obozu.

— Szanujesz prawdę?

— Ponad wszystko!

— Przypuśćmy, że jakaś kobieta, zupełnie szczerze nie wierzy innym kobietom czy ma twierdzić przeciwnie?

— Może milczeć i starać się stłumić niego dziwe, niszczące uczucie. Zamilkł na chwilę poczem spojrzał na Iseacsona i zapytał:

— Czy pójdziesz stąd jeszcze gdzie?

— Miałem być w Chesham Plau. Dlaczego?

— Czy musisz tam iść?

— Nie.

— W takim razie, chodź ze mną do Savoy na kolację.

— Na kolację! mój drogi Armine, wiesz jak my, lekarze, prawimy kazanie naszym pacyentom o szkodliwości zbyt obfitego jedzenia i picia. Nie mogę już nic więcej jeść, aż jutro rano, po mojej przejeździe.

— Ale przypuszczam, że przy stole siedzieć możesz?

— No pewnie.

— A zatem chodź, będziesz tylko siedział przy mnie. Wyjdziemy stąd razem.

— Dobrze.

— Będziesz mógł się przekonać, naocznie, czy jestem na właściwem miejscu w Savoy.

III.

O kwadrans na jedenastą dr. Iseacson i Armine opuścili salony Lady Somerson, i wsiedli do elektrycznego samochodu doktora. Gdy ruszyli ten ostatni się odezwał:

— Miałaś długą rozmowę z Mrs. Derringham.

— Tak — odparł krótko Armine.

I popadł napowrót w milczenie, oparty o poduszki.

— Lubię ją — rzekł po chwili doktór.

— Lubisz?

— A ty? — nie.

— Dlaczego tak myślisz?

— Czuję to, wnoszę ze sposobu, w jaki powiedziałeś — tak:

Armine pochylił się lekko naprzód.

— Czy ona nie jest trochę *mauvaise leuque* — zapytał.

— Mrs. Derringham? z pewnością nie.

— Ona jest jedną z niewierzących w kobiety, o których mówiłeś po obiedzie, jedną ze zdrajczyń niewieściego obozu. Dlaczego kobiety nie trzymają się razem?

— Czasami tak czynią.

— Tak, jeżeli chodzi o potępienie pewnej kobiety jest jakieś niszczące dzieło pod ręką, ale czy są zgodne jak chodzi o zbudowanie czegoś?

— Czy myślisz o podniesieniu kogoś w opinii?

Armine ciągnął wąsa. W elektrycznem świetle Mayer Iseacson mógł widzieć jego iskrzące się oczy.

— Bo jeśli to masz na myśli — ciągnął dalej doktor — jestem zdania, że każdy, lub każda buduje indywidualnie swoją własną opinię.

— Potrzebujemy pomocy we wszystkich naszych pracach, a jak często, niestety, jak często, nie znajdujemy jej wcale.

— Czy Mrs. Derringham mówiła dziś niepochlebnie o jednej specyalnie kobiecie?

— Tak.

— Możesz mi powiedzieć o kim?

— O Mrs. Chepstow.

— Mówiliście dzisiaj o Mrs. Chepstow? — Iseacson mówił powoli — o sławnej Mrs. Chepstow.

— Sławny? Nie widzę, żeby Mrs. Chepstow miała być sławną kobietą. Nie jest ani pisarką, ani śpiewaczką, ani aktorką. Nie czyni nic takiego o czembym słyszał. Wprawdzie nazwisko jej jest znane mnóstwu osobom, ale w naszych czasach plotek i naturalnie...

W tej chwili samochód wjechał na wyszlifowany bruk przed hotelem Savoy i stanął u wejścia.

Wchodząc do holl'u Mayer Iseacson, przypomniał sobie, że list, który Mrs. Chepstow do niego napisała, prosząc o godzinę przyjęcia, był ostemplowany „Savvy Hotel". A zatem tutaj mieszkała, czy mieszka jeszcze teraz? Nie słyszał nigdy przedtem, żeby Armine o niej wspominał, ale jego kobieca intuicya skojarzyła słowa: „jest mi bardzo dobrze w Savoy" z zaproszeniem na kolację i rozmowę o Mr. Chepstow. Armine znał Mr. Chepstow, spotkają się z nią dzisiaj w restauracyi. Mayer Iseacson był tego pewny.

Zostawiwszy okrycie w garderobie, przeszli do sali restauracyjnej, która była prawie pusta. Maître-d'hotel, zgięty w ukłonie i uśmiechnięty, podszedł do Amine'a, i wskazał stolik, stojący w kącie. Meyer zobaczył, że był nakryty na dwie osoby, zdziwiony, ale nic nie mówiąc, zajął miejsce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na wschodnim froncie.

Oczy całego polskiego społeczeństwa zwrócone są na Wschód, gdzie, można rzec bez przesady, prawie od Bałtyku po morze Czarne polski żołnierz dzielną swą piersią zagradza drogę w głąb Europy „czerwonej armii" Lenina i Trockiego.

Każda wiadomość, jaka z którego z odcinków bojowych nadchodzi, interesuje ogół i bywa żywo komentowaną. Nie są one zawsze pomyślne i wesołe, ale też każdy sobie to tłómaczy, wiedząc dobrze o tem z własnego doświadczenia, że los drogę żywota usłał nam nie tylko różami.

Czytamy ze wzruszeniem opisy męstwa i poświęcenia, jakich tyle złożyli już nasi szermierze o wolność, a przykład ich stawiamy za wzór do naśladowania młodszemu pokoleniu, które dopiero rwie się do czynu.

Nie bez wychowawczego znaczenia jest przecież czasem wzmianka o czynie zbrodniczym, za który sprawcę dosięgła ręka Sprawiedliwości! To przestroga, że złoczyńca za swój czyn haniebny musi ponieść zasłużoną karę.

A chyba jednym z najhaniebniejszych czynów, jakie człowiek zbrodniarz może spełnić w chwili zaślepienia, to zdrada własnej Ojczyzny.

O podobnym fakcie i doraźnej karze, jaka zdrajcę spotkała, donosi nam ze wschodniego frontu jeden z Przyjaciół naszego pisma.

Po morderczej walce, jaką stoczono z przeważającemi siłami bolszewików, rozpoczęło się znoszenie i zwożenie rannych. Byli między nimi i swoi, nie brakło i czerwono gwardzistów, których, uciekając w popłochu, pozostawili towarzysze na los szczęścia.

Między nimi był i ranny w cywilnem ubraniu. Nie odniósł on ran na polu walki, zdrów i cały dostał się w nasze ręce. W zajętym poznali nasi żołnierze swego dawnego kolegę, który służył w ich pułku, w styczniu poszedł do bolszewików i wiele szkody wyrządził swym własnym kolegom, obsługując bolszewickie karabiny maszynowe. Co go do zdrady skłoniło, przejęcie się przewrotowemi ideami czy chęć zysku, nie wiadomo.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarło na naszych żołnierzy ujęcie zdrajcy. Poznano go, choć udawał, że po polsku nie rozumie. W jednej chwili przypomniały się wszystkie krzywdy, jakie im towarzysz broni i krajan wyrządził, wszelkie szkody, jakie przez niego i jemu podobnych — ponieśli. I, choć tego pochwalić nie można, dziwić się trudno, iż oburzenie na zdrajcę doprowadziło do wyznaczenia mu na miejscu sprawiedliwości. Uprzedzono przez to tylko powszechny wyrok i karę, jaka go czekała, dano też odstraszający przykład innym, co czeka tych, którzy chcieliby się dopuścić tak haniebnego czynu.

Ujęty zdrajca, Jan Gradys, pochodził ze wsi Wożniki powiatu sieradzkiego, ziemi kaliskiej. W wojsku pełnił służbę jako b. legionista, kapral z pierwszej kompanii karabinów maszynowych 4 pp.

Bogu dzięki podobne osobniki należą w naszej armii do wyjątków!



Na wschodnim froncie: Rezerwa 3 p. p. Legionów na pozycyi.



Na wschodnim froncie: Transport rannych z pola bitwy.



Na wschodnim froncie: Dostawienie zdrajcy Gradysa do szpitala polowego Nr 303.

Poszukiwanie zaginionego.



Kazimierz Bazovsky, uczeń VI klasy gimnazyalnej w Cieszynie, urodzony w roku 1904 w Cučeńcu (Losoncz) na Słowaczyźnie, zamieszkały w Cieszynie ul. Strażacka, wydalił się z domu w dniu



Z życia na Górnym Śląsku: Parada wojsk francuskich na rynku w Katowicach. Jenerał Le Rond (X) dekoruje oficerów.

2 czerwca b. r. rzekomo z zamiarem wyjazdu do Krakowa i Polski i odtąd niema o nim żadnej wieści.

Opis osoby: wzrost wysoki, silnie zbudowany, włosy ciemno-blond długie w tył zaczesane, twarz owalna pełna, bez zarostu, oczy siwe, wzrok bystry.

Wiadomość do Prefektury (Starostwa) w Cieszynie na ręce referenta nadkomisarza Rady Narodowej Jana Podgórskiego.

Z życia na Górnym Śląsku.

Górny Śląsk, tak nam bliski, a tak przecież daleki!... W niespełna godzinę można się dostać z Krakowa do jego granic, niestety, oddzielają go od nas dotąd słupy graniczne, a wieści jakie z poza nich dochodzą, nie brzmią zbyt pomyślnie.

Na domiar zaczynają się coraz częściej odzywać głosy, że te ziemie raz na zawsze dla nas przepadły, gdyż Koalicya ma podobno zamiar pozostawić je przy Niemcach, przyznając nam za to Śląsk Cieszyński bez plebiscytu.

Czy tak się stanie, przyszłość to dopiero okaże.

W każdym razie stwierdzić należy, że Niemcy na Górnym Śląsku są zbyt pewni siebie, a choć rządy spoczywają *de nomine* w rękach Komisyi międzynarodowej, oni *de facto* nie zmienili dawnego swego systemu, dławiąc w zarodku każdy najmniejszy objaw budzenia się ducha polskiego. Ofiarą niemieckiego terroru padają nie tylko miejscowi Polacy, ale i okupacyjne wojska francuskie, narażone na ciągłe zaczepki i napaść ze strony hakatystów.

Ale w każdym Ślązaku siedzi rogata dusza!... Tak łatwo zjeść się w kaszy nie pozwoli i całem sercem radby jak najrychlej zrzucić ze siebie znienawidzone jarzmo pruskie.

Gniazdami ruchu antipolskiego są Katowice, Bytom i Opole. Stąd wychodzi cała agitacya, tam odbywają się wiece i demonstracye, mające stwierdzić, że Górny Śląsk to integralna część Rzeszy.

W Katowicach zebrało się ponadto sporo galicyjskich mieszkańców przed odbyciem powinności wojskowej (dla zamanifestowania swej „neutralności“...) Czasu też darmo nie tracą, zajmują się handlem, przemytnictwem i antipolską polityką, na którą oburzają się nawet uczciwi Niemcy.

Do jakiego stopnia bezczelności dochodzą hakatyści, może być dowodem fakt, iż w Opolu znów „przeszkadza“ Niemcom godło polskie, zawieszone nad naszym konsulatem. Nie tak dawno, jak je zbeszcześcili, w ubiegłym tygodniu urządzili znów przed budynkiem burzliwe demonstracye i wysłali delegacyę, żądającą, aby Orła polskiego usunięto, gdyż to „drażni“ Niemców. Komisya międzynarodowa zebrała się na energię i rozkazała wojsku rozpędzić hołotę, nie chcąc swego prezesa, generała francuskiego Le Rond narażać znowu na danie przedstawicielowi Polski urzędowego zadośćuczynienia.

Na każdym kroku szerzą Niemcy terror, starając się w ten sposób sprowokować Polaków, aby w ten sposób upozorować wobec świata stosowane względem nich represye. Przy tej sposobności przedstawiają się stale jako strona pokrzywdzona.



Z życia na Górnym Śląsku Protestujący wiec Niemców przed ratuszem w Katowicach.



Z życia na Górnym Śląsku: Msza polowa w dniu 3. maja w Bytomiu.

Ale ludność polska Górnego Śląska cierpliwie znosi wszelkie szykany, manifestując na każdym kroku swe dążenia do zjednoczenia z resztą Ojczyzny. Nie potrafią jej wytrącić z równowagi nawet i całe gromady prowokatorów, „pracujących“ na terenie plebiscytowym za bolszewickie ruble.

Niemcy utrzymują, że ich życie ekonomiczne bez węgla górnośląskiego będzie niemożliwe. Polacy tamtejsi głoszą jawnie, że dość im już tej poniewierki i że nie rozumieją życia bez łączności organicznej z resztą Polski.

Kto zwycięży, przyszłość to okaże. Za Niemcami przemawiają względy natury ekonomicznej, za nami słuszność i sprawiedliwość.

Z obecnego życia na Górnym Śląsku podajemy kilka ciekawych illustracyi.

Lwowcy goście w teatrze „Nowości“.

Obecny sezon teatralny obfituje w niespodzianki, które miłośnicy sceny przyjąć muszą z uznaniem. Dyrekcye krakowskich teatrów dokładają wszelkich starań, aby repertuar odpowiadał jak najdalej idącym wymaganiom i zapoznał widzów z najnowszymi przejawami rodzimej i obcej twórczości, nie szczędzą też kosztów na gościnę gwiazd sceny polskiej, przebywających stale poza Krakowem.

W pierwszej połowie czerwca gościł niezrównany Frenkel w „Bagateli“, drugą połowę zajęły występy Kamińskiego.

W ślady „Bagateli" poszedł teatr „Nowości", zapraszając na szereg gościnnych występów Helenę Miłowską i Filipa Kuligowskiego znakomitych artystów lwowskiej operetki.

Oboje to dobrzy znajomi i prawdziwi ulubieńcy Krakowa z czasów corocznej gościny lwowskiego zespołu na deskach naszego teatru miejskiego. Pani Miłowska była ponadto w późniejszym czasie zaangażowaną do Teatru powszechnego. Zna ich więc Kr aków i ceni, sama zapowiedź występów tak dobranej „dwójki" starczy zamiast wszelkiej szumnej reklamy.

Artyści wystąpią w całym szeregu operetek, w których ich już widzieliśmy i teraz także jeszcze zobaczymy, oraz w nowych, w których ujrzymy ich po raz pierwszy.

Przesuną się więc kolejno przed oczyma widza: „Wesoła wdówka", „Manewry jesienne", „Polska krew", „Jenerał huzarów" i t. d. — Miłośników lekkiej muzyki i niefrasobliwego spędzenia wieczoru czeka więc prawdziwie artystyczna biesiada dzięki lwowskim Gościom.

Występy pp. Miłowskiej i Kuligowskiego rozpoczną się w Teatrze „Nowości" w dniu 1. lipca b. r.



Z życia na Górnym Śląsku: Przew. Komisyi międzynar. jenerał Le Rond (1), w rozmowie z landratem katowickim (2).



Lwowscy goście w teatrze „Nowości": Filip Kuligowski i Helena Miłowska, artyści lwowskiej operetki. (Fot. „Flora" Lwów).

Pożyczki wojenne austryackie.

Kto posiada pożyczkę wojenną austryacką, może złożyć ją na pożyczkę polską po kursie 66 marek za sto koron, ale trzy razy tyle musi złożyć gotówką lub asygnatami z r. 1918. Ci, którzy posiadają pożyczkę austryacką na kwotę nie większą od 1.000 koron, składają w gotówce tylko drugie tyle. Jeżeli ktoś podpisał już pożyczkę polską może dodatkowo przynieść pożyczkę austryacką i ta będzie mu zaliczona albo jako czwarta część albo jako połowa ogólnej kwoty subskrybowanej. Najlepiej przynosić pożyczkę austryacką do tego samego banku, w którym się ją kupiło, bo wtedy bank ma prawo przyjąć ją bez żadnych zastrzeżeń inny zaś bank może tylko przyjąć do kwoty 5.000 mk. Kupony przy pożyczce austryackiej muszą być przynajmniej od 1 maja 1919 roku, a subskrybować można tylko długoterminową pożyczkę polską. Wprawdzie przeprowadzone będzie spisanie wszystkich pożyczek austryackich, ale już teraz można ją składać na pożyczkę polską w myśl tego co wyżej podano. Zwraca się jednak uwagę, że trzeba koniecznie wykazać, iż subskrybowało się samemu pożyczkę austryacką a nie kupiło się jej od innej osoby. Państwo Polskie, przyjmując Pożyczki austryackie robi wielką ofiarę, chcąc przyjść obywatelom swoim z pomocą, bo za te pożyczki austryackie od nikogo nic nie dostanie stosownie do traktatu pokojowego. Ponieważ subskrypcya pożyczki polskiej kończy się dnia 15 Lipca br. przeto jest rzeczą wskazaną zgłosić się z pożyczką austryacką do odpowiednich banków jaknajrychlej.

Włamywacz na urlopie.

Przeczytawszy ten tytuł, pomyśli sobie każdy z Czytelników, że „włamywacz" zmęczony pracą zawodową, porzucił ją na jakiś czas, aby wytchnąć i nabrać nowych sił. Ale tak nie jest! Wojna przewracając świat do góry nogami, nie oszczędziła i włamywaczy. Czas urlopu obracają oni słusznie na wykonywanie arcydzieł złodziejskiego kunsztu, godnych uwieńczenia na płótnie kinowem dla nauki młodego pokolenia.

Przed niedawnym czasem dokonano w Krakowie w Urzędzie drzewnym przy ul. Basztowej śmiałego włamania. Nieznani sprawcy rozbili dwie ogniotrwałe kasy i skradli ponad dwieście tysięcy koron, nic sobie z tego nie robiąc. że będą mieć kłopot z ich zmianą na marki, wedle relacyi pana ministra skarbu.

Rozpoczęto energiczne śledztwo, w trakcie którego wpadła policya na trop jednego ze sprawców. Był nim Karol Pajdo z Podgórza, włamywacz o prawdziwie światowej sławie. Aresztowano go w jego mieszkaniu przy ul. św. Tomasza w Krakowie, konfiskując cały warsztat złodziejski, zaopatrzony nader obficie w precyzyjne narzędzia oraz większą ilość sinku potasu.



Włamywacz na urlopie: Karol Pajdo z Podgórza. włamywacz kasowy o światowej sławie i jego „warsztat pracy".

Dotąd wszystko w porządku — teraz dopiero zaczyna się sensacya.

Pajdo, człowiek skromny, bawił w Krakowie in cognito, to jest pod fałszywem nazwiskiem. Stwierdzono przecież, że to pan Pajdo w swej własnej osobie.

Ale któż sobie wyobrazi zdziwienie krakowskich organów policyi, gdy przy aresztowanym znalazły dokument urzędowy, mocą którego „pan Karol Pajdo, skazany za różne niecne sprawki na wieloletnie ciężkie więzienie, które odsiadywał w Mokotowie, otrzymał trzy miesięczny urlop, celem poratowania zdrowia".

Dokument, jak się pokazało, był autentyczny!

Pan Pajdo, brzydzący się próżniactwem, przy bywszy w rodzinne swe strony, nie pędził czasu bezczynnie, ale zabrał się zaraz do zawodowej pracy, zadając kłam orzeczeniu ekspertów w mokotowskiem więzieniu, że potrzebuje urlopu dla... poratowania zdrowia.

„Urlop" przerwała mu krakowska policya, która winna być za to pociągnięta do odpowiedzialności przez warszawskie władze.

Niema to jak być dziś bandytą lub włamywaczem!... Takim łatwiej nawet o urlop!...

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył S. N., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda pierwszą literę imienia i nazwisko znakomitego współczesnego artysty dramatycznego:

```
    ■
  – ■ –
  – ■ –
  – ■ –
  – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Miasto w Rosyi, 3. Okres czasu, 4. Stan podobny do śmierci, 5. Dopływ Dunaju, 6. Miasto święte dla Muzułmanów, 7. Rodzaj gleby, 8. Imię żeńskie, 9. Wyspa na morzu Śródziemnem.

Zgłoskówka.

Ułożył J. Malinowski, Lwów.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwisko znanej postaci z dziejów Francyi:

Rodziewiczówna, Rawita, baca, Orlando, Lenin, Floryański, skała.

Trójkąt magiczny.

Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwę miejscowości, gdzie oręż polski okrył się niespożytą sławą:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – – –
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Moneta we Francyi, 3. Imię męskie, 4 Wyżyna w Azyi, 5. Zwierzę ssące, znane niegdyś w Europie 6. Litera grecka, 7. Samogłoska.

Okienko.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a a a a a
a   a   e
e g g i i
k   k   m
r r t t w
```

Znaczenie wyrazów: 1. Znany pieniądz, 2. Inaczej przegląd, 3 Imię żeńskie.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył A. B., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą przydomek (herb) i nazwisko polskiego bohatera:

O-a
S-m
I-n
L-n
o-a
E-a
d-b
o-a
L-s
i-a
N-l
a-h
I-a

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. K. Kotulski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
a, a, c, e,
e, l, l, r,
w, w, w, z.

Znaczenie wyrazów: 1. Mała izdebka, 2. Imię biblijne, 3. Masa ognista, 4 Członek narodu, znanego w wiekach średnich.

Grzebieniówka.

Ułożył M. K., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę miejscowości w Galicyi, znanej w całym świecie:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Jeden z żywiołów, 2. Rzeka w Hiszpanii, 3. Wyżyna w Azyi, 4. Francuski powieściopisarz, 5. Imię męskie.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył N. N., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, b, c, d, e, e, i, i, l. ł, m, p, p, r, s, t, u, w, y, y.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 A. Gruszeckiego: „W c. k. urzędzie" (powieść), 2) Paczkę papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 24

Zadanie do uzupełnienia: Eli, Nil, aga, Sas, Inn, San, ara, kos, Odo, nów, Ewa.

Logogryf: Iza, Równo, cis, Sas, Pasek, matka, Brody, Paweł, Zan, Inn, oliwa, lew.

Zadanie na rozsypane litery: Trzeci Maj.

Bilety wizytowe: Malarz, Kołodziej, Kowal, Krawiec, Szewc.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Balicka Krosno, M. Sawicka Lwów, K. Koźmiński Warszawa, J. Jaworski Lwów. H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, K. Balicka Tarnopol, J. Czernecki Jasło, Z. Sperling Lwow, S. Sokołowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, S. Kohn Stryj, K. Łempicki Kraków, S. Samlicki Lwów, H. Weigel Jarosław, H. Gąsiorowski Warszawa, . Lipski Wiedeń, M. Radzińska Sanok, S. Zajączkowski Rzeszów, M. Kot Przemyśl, M. Hanasiewicz Stanisławów, K. Wierzbicki Tarnów, K. Dębiński Zakopane, S. Sokołowski Warszawa, W. Raczyński Kołomyja, M. Kaczorowski Kraków, J. Roland Kraków, M. Hiller Lwow, R. Korda Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Waligórska Płock, J. Remer Sambor, B. Wiśniewski Łańcut, K. Borkowski Kraków, J. Gross Bochnia, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, S. Nowacki Lwów, W. Raczyński Kraków, K. Radziszewski Warszawa, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, M. Zak Kraków, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Przemyśl. M. Kowalska Kraków, J Nowak Drohobycz, K. Fijałkowski Kraków, L. Gartner Rozwadów, H. Dąbrowska Warszawa, W. Lange Toruń, H. Gruszczyński Tarnów, J. Zawadzki Kraków, H. Frasiński Bochnia, . Szczudłowski Jarosław, L. Bogucka Warszawa, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Lewińska Stanisławów, J. Boczarski Lwów, M, Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T. Nowicki Kraków, T. Ostrowski Kraków, S. Rosenbaum Rzeszów, S. Krzyżanowski Warszawa, M. Jasińska Lwów, J. Sikorski Końskie, Antoni Seiboth Kęty, K. Gorzejowska Łukaczów, R. Rubczak Stanisławów, J. Kilarska Złoczów, Ł. Danielska Kraków, E Szwebel Czortków. H. Zelwonibar Szydłowiec, M. Stachowicz Kraków, L. Palej Przeworsk, S. Jarosz Lwów, A. Frontczak Będzin, J. Rykowski Warszawa, A. Link Lwów, T. Borzęcki Kraków, Dr C. Waligórski Trembowla, A. Ptaszykówna Sambor, J. Setmajer Lwów, H. Brożek Kraków, W. Szczudłowski Jarosław.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Sokołowski Warszawa (książka), 2) K. Dębiński Zakopane (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego